

**JAMES OLIVER
CURWOOD**

ZŁOTE SIDŁA

James Oliver Curwood

Złote sidła

«Public Domain»

Curwood J.

Złote sidła / J. Curwood — «Public Domain»,

Postać Brama Johnsona, człowieka-wilka, owiana jest legendą. Mówi się, że żyje wraz ze swoją sforą wilków gdzieś z dala od cywilizacji. Niektórzy natrafiają na jego ślady, a istnienie Brama potwierdzają dwa morderstwa, których dokonał. Nie wszyscy jednak wierzą, że sam uszedł z życiem. Piotr i jego przyjaciel Filip rozmawiają o Bramie. Filip uważa, że jeśli ten istniał, to na pewno już nie żyje. Piotr utrzymuje, że widział Brama, a co więcej znalazł jego własność - złote sidła, które, jak się okazuje, zrobione są z kobiecych włosów. Zarówno z ciekawości oraz obowiązku, jak i w obawie, że człowiek-wilk więzi piękną kobietę - lub na takie poluje - Filip udaje się, by go odnaleźć. James Oliver Curwood, autor Złotych sideł, był amerykańskim pisarzem, żyjącym na przełomie XIX i XX wieku. Do jego najbardziej znanych powieści należą Włóczęgi północy i Szara wilczyca.

© Curwood J.

© Public Domain

Содержание

Rozdział I. Bram Johnson i jego wilki	5
Rozdział II. Osobliwe odkrycie	8
Rozdział III. Brant postanawia działać	11
Rozdział IV. W drogę!...	13
Rozdział V. Spotkanie z Bramem	16
Rozdział VI. „Złapał Kozak Tatarzyna...”	19
Rozdział VII. Filip kapituluje	22
Конец ознакомительного фрагмента.	25

James Oliver Curwood

Złote sidła

Rozdział I. Bram Johnson i jego wilki¹

Bram Johnson był istotą niezwykłą, jakich niewiele spotyka się nawet w pustkowiach Northlandu².

Były chwile, kiedy można było uważać go za człowieka posiadającego rozum i duszę; w innych zaś przypominał raczej jakąś straszliwą apokaliptyczną bestię. Czy posiadał naprawdę to, co powszechnie nazywamy duszą? Jeżeli tak, to dusza ta zatajona była głęboko, gdzieś w niedostępnych czeluściach borów i dzikich pustkowi, wśród których rozwijała się. Toteż nie będziemy potępiać Brama nierozważnie w niniejszym opowiadaniu. Ostrożność w osądzaniu bliźnich zawsze jest wskazana.

Aby zdać sobie dokładnie sprawę z tego, kim był właściwie Bram Johnson, musimy cofnąć się o trzy generacje wstecz. Jeżeli lekkim pirogiem puścimy się z Jeziora Athabaska w kierunku północnym, aż do Wielkiego Jeziora Niewolników, a stamtąd korytem rzeki Mackenzie w stronę koła podbiegunowego, napotkamy na tej drodze przeróżne typy etniczne. Najpierw Indian ze szczepu Chippewayów, ludzi smukłych i zwinnych, o pociągłej twarzy, używających lekkich, mocno wygiętych łódek. Potem szczep Cree, którego przedstawiciele odznaczają się twarzą więcej okrągłą, oczami bardziej skośnymi. Są to ludzie ospali, spokojni, a łodzie, jakimi się posługują, zbudowane są z kory bambusowej i mają dziwaczny kształt. W miarę posuwania się ku północy, tracą pierwotną czystość swej rasy, stając się stopniowo podobnymi do Japończyków. I znowu napotkamy szczep Chippewayów, który jednak w tej szerokości geograficznej uległ dużemu przeobrażeniu. W miarę zbliżania się do koła podbiegunowego, zaczynają oni używać „kajaków” zamiast pirog, rysy ich twarzy stają się bardziej rozlane, oczy skośnie osadzone, małe jak u Chińczyków. Są to owi Eskimosi, jak ich nazywają w podręcznikach geografii.

Jeden z przodków Brama Johnsona musiał przed paruset laty wywędrować z południa ku północy. Krew jego dzieci i ich potomków zmieszała się z krwią szczepu Chippewayów i Cree, a z biegiem czasu i z krwią Eskimosów. A co najciekawsze, imię Johnson przechodziło stale z jednej generacji na drugą. Ale gdyby ktoś ciekawy zajrzał do namiotu, w którym obecnie mieszkał Bram Johnson, licząc na to, że znajdzie tam człowieka białego, spotkałaby go niespodzianka.

Bram Johnson, w następstwie tego krzyżowania się rozmaitych ras, tylko z koloru skóry, włosów i oczu przypominał człowieka białego, pozostałe zaś, to cechy charakterystyczne dla plemienia Eskimosów, z którego pochodziła jego matka. W jednym tylko jeszcze odbiegał od tego typu: mierzył sześć stóp³ wysokości.

Był to prawdziwy olbrzym, o niesłychanej sile fizycznej, twarz szeroka, o wystających kościach policzkowych, nos spłaszczony, wargi grube. Skórę na twarzy jednak miał zupełnie białą, włosy bujne, rude, twarde jak szczecina, oczy duże, błękitne. Czasami, zwłaszcza gdy był poirytowany, oczy te przybierały kolor szary, niby oczy kota, świecąc nagłym, dzikim blaskiem.

¹ *Rozdział I. Bram Johnson i jego wilki* – w dostępnych wydaniach ang. rozdziały są tylko numerowane, nie mają tytułów. [przypis edytorski]

² *Bram Johnson był istotą niezwykłą, jakich niewiele spotyka się nawet w pustkowiach Northlandu* – Pod mianem „Northland” rozumie się północny cypel Ameryki dochodzący do koła podbiegunowego. Jest to niemal pustkowie, na którym zanikają wszelkie ślady cywilizacji. [przypis tłumacza]

³ *stopa* (ang. *foot*, lm *feet*) – ang. miara długości, dziś ok. 30,48 cm (daw. w Europie 27–35 cm). Sześć stóp to ok. 180-190 cm; w XIX i na początku XX w., zwłaszcza w trudnych warunkach północnych, ludzie rzadko osiągalni tak wysoki wzrost. [przypis edytorski]

Bram nie miał żadnych przyjaciół ani towarzyszy. Otaczała go jakaś dziwna tajemniczość... Jeżeli zaglądał czasem do jakiejś faktorii, to tylko na krótki czas, aby nabyć nieco potrzebnych mu rzeczy w zamian za skórki dzikich zwierząt, które przynosił. Mijały długie miesiące, a Bram nigdy nie pokazywał się ponownie w tym samym miejscu. Ustawicznie wędrował po świecie.

Policja lotna „Royal North-West” miała go na oku, nie gubiąc nigdy jego śladów. W raportach, składanych przez wysunięte daleko na północ placówki policji, spotyka się niejednokrotnie lakoniczne wzmianki o Bramie, tej mniej więcej treści: „Widzieliśmy Brama z wilkami, szedł w kierunku północnym...” – „Bram ze swoimi wilkami przechodził tędy...” Potem w ciągu dwóch lat zginął bez śladu – powędrował prawdopodobnie gdzieś w okolice Jeziora Niedźwiedzi. A kiedy znów się zjawiał, policja zaczęła się nim interesować jeszcze bardziej. Zachowanie jego wydawało się bowiem dziwnie podejrzane. Coś musiało się stać, prędzej czy później.

I rzeczywiście to „coś” stało się. Bram zabił człowieka. A zabił go tak szybko i zręcznie, że zanim odkryto to zabójstwo, po Bramie nie było już ani śladu.

Wkrótce, w dwa tygodnie później, rozegrała się nowa tragedia. Kapral policji Lee, w towarzystwie jednego ze swych ludzi, wyruszył z fortu Churchill celem schwytania i aresztowania Brama. Odszukał go gdzieś na granicach Barrenu⁴. Posuwali się z całą ostrożnością, by dogonić go i schwytać. Nagle, gdy byli w odległości około ćwierć mili, usłyszeli głośny, niesamowity śmiech. Bram nie atakował ich, nie strzelił ani razu. Poszczuł tylko na nich swoje wilki. Cudem prawdziwym kapral Lee nie zginął na miejscu. Ciężko pokaleczony dowlókł się do chaty pewnego Metysa i tam wkrótce wyzionął ducha. Metys poszedł do fortu Churchill i opowiedział całe to zdarzenie.

Od tej chwili Bram zniknął zupełnie ze świata.

Ach, gdyby można opisać i opowiedzieć szczegółowo te cztery czy pięć lat tortur i męczarni, jakie Bram przeżywał w samotności – niejedno zostałooby mu przebaczone! Bram i jego wilki! Czyliż samo zestawienie tych słów dreszczem was nie przejmuje? Pomyślcie tylko: zawsze sam, sam jeden, w towarzystwie wilków. Nigdy nie słyszał mowy ludzkiej. Nigdy nie mógł zbliżyć się nawet do jakiejś faktorii, by zakupić nieco żywności! Po prostu człowiek-zwierzę, prawdziwy wilkołak!

W ciągu trzech ostatnich lat Bram przeprowadził stopniowo jak najstaranniejszą selekcję między swymi wilkami. Pozbył się wszystkich mieszańców-wilczurów, zachowując dla siebie tylko dwadzieścia wilków najczystszej krwi. Sam je wychowywał od maleńkich szczeniaków, przywiązał się do nich równie silnie jak one do niego. One zastępowały mu rodzinę, braci, siostry. Spał razem z nimi, jadł z nimi, cierpiał głód na równi z nimi wtedy, kiedy brakowało im świeżej żywności. One były mu całym towarzystwem i najpewniejszą opieką. Skoro zabrakło mięsa, puszczał swą horde wilków na trop jakiegoś łosia czy karibu⁵. W pościgu za zwierzem wilki zapędziły się nieraz o kilka czy kilkanaście mil naprzód. Ale Bram doganiał wkrótce całą horde i zawsze znalazł się dla nich porządną kawał mięsa.

Cztery lata takiego życia! Policja wprost wierzyć w to nie chciała. Uśmiechali się z niedowierzaniem, kiedy do uszu ich dochodziły z daleka wieści, że Bram żyje, że go widziano, że słyszano jego potężny głos i straszliwe wycie wilków, że Metysi i Indianie w różnych stronach natrafiają na jego ślady.

W opowiadaniach o Bramie było też dużo przesady i śmiesznych, fantastycznych dodatków. Indianie uważali Brama za istotę nadprzyrodzoną, za czarownika, który zaprzedał duszę swą diabłu i w zamian za to może dowolnie latać w powietrzu. Znajdowali się ludzie, którzy całkiem serio przysięgali się, że widzieli na własne oczy, jak Bram razem z hordą swych wilków latał po niebiosach, polując na jakieś potworne bestie.

⁴ *Barren* – ogólna nazwa, nadawana pustyniom i nieurodzajnym okolicom północnej Kanady. Słowo to, nie dające się na polski przetłumaczyć, ma podobne znaczenie, jak np. dżungla, step, pampasy itp. [przypis tłumacza]

⁵ *karibu* – gatunek rena. [przypis redakcyjny]

Dość na tym, że policja przekonana była, że Bram od dawna już nie żyje. Tymczasem on, uciekając przed ludźmi, coraz bardziej zbliżał się i upodabniał do swych braci-wilków.

Jednak w żyłach jego płynęła krew białych ludzi. I Bram coraz gwałtowniej, coraz silniej tęsknił za głosem ludzkim. Pragnienie to rozsadzało nieraz jego potężne piersi. A jednak, Bram nie kochał nigdy w życiu żadnego człowieka.

Pragnienie to właśnie dało początek straszному dramatowi, w którym dwoje ludzi – mężczyzna i kobieta – odegrało niepoślednią rolę.

Rozdział II. Osobliwe odkrycie

Mężczyzna ów nazywał się Filip Brant⁶.

Tego wieczoru siedział on w chatce Piotra Breault, rozdzielony stołem od gospodarza. Od pieca, rozpalonego do czerwoności, biło ciepło na całą izbę. Był późny wieczór.

Piotr Breault, który polował na lisy, zbudował sobie chatkę na skraju wąskiego pasa szpilkowego lasu, wrzynającego się w obszar Barrenu. Spoza ścian chatki dochodziło żałosne, ponure wycie wichury. Tam dalej, w kierunku wschodnim, była Zatoka Hudsona. Wystarczyło otworzyć drzwi chatki, by posłyszeć głucho, nieustannie przeciągłe grzmoty idące z tamtej strony. Huczało i grmiało morze, walcząc z lodami zaścielającymi Zatokę Hudsona. Czasami rozlegał się głośniejszy huk, gwałtowny niby wystrzał armatni. To pękały góry lodowe, waląc się w fale morskie.

W kierunku zachodnim przestrzeń pusta, gładka, bez żadnych wyniosłości, skał czy zarośli. To Barren, nad którym przez cały dzień zwisa nisko niebo szare, niby gruba ciężka zasłona, zabarwiona miejscami purpurowo, z którego zda się, lada chwila, runą na ziemię zwały śnieżne. Jeszcze straszniejsze wrażenie robiło to w nocy, kiedy wiatr zawodził żałośnie i wokoło rozlegały się piski białych lisów.

– Jak pragnę zbawienia mej duszy – powtarzał Breault – widziałem go na własne oczy...

Filip Brant przestał się uśmiechać z niedowierzaniem. Wchodził on w skład patrolu policyjnego, stacjonującego w forcie Churchill. Doskonale wiedział, że Piotr Breault był człowiekiem odważnym, bowiem inaczej nie ośmieliłby się osiedlić w tym miejscu, w pustkowiu Barrenu. Wiedział też, że Breault nie był wcale przesadnym i zabobonnym, jak to się często zdarza u ludzi w tym zawodzie, bo gdyby tak było, już dawno uciekłyby stąd, nie mogąc znieść tych tajemnych jęków i pisków, jakie rozlegają się każdej nocy w tych pustkowiach.

– Przysięgam panu! – powtórzył Breault.

Filip słuchał go rozgorączkowany, rumieńce wystąpiły mu na twarzy. Zaciśnięte pięści oparł mocno o stół. Był to mężczyzna w wieku trzydziestu pięciu lat, smukły i doskonale zbudowany. Oczy miał jasne, błękitne, o połysku stali. Kiedyś, dawniej, ubierał się elegancko, jak wszyscy ludzie cywilizowani. Mieszkał wówczas w dużym mieście. Obecnie odziany był w ubranie ze skóry karibu, o wystrzępionych rękawach. Na rękach rysowały się grube żyły, a na twarzy zmarszczki głębokie, wyżłobione wśród nieustannych walk z przyrodą, burzami i wichrami.

– To niemożliwe – odparł. – Bram Johnson nie żyje.

– Żyje, proszę pana!

W głosie Piotra Breault wyczuwało się dziwne drżenie.

– Gdybym wiedział to tylko ze słyszenia, gdybym go nie widział na własne oczy, wtedy mógłby pan mieć pewne wątpliwości.

Oczy płonęły mu dziwnym blaskiem. Silniejszym nieco głosem zaczął opowiadać:

– Siedziałem tu, w tej samej chacie, kiedy nagle posłyszałem wycie jego wilków. Podeszedłem do drzwi, otworzyłem je i przystanąłem, starając się dojrzeć coś w ciemnościach nocy. Byli już niedaleko i zbliżali się szybko. Posłyszałem stuk kopyt karibu na zamarznietym śniegu. Przebiegł niedaleko mej chaty w pełnym galopie. A w ślad za nim pędziła horda wyjących wilków. Nad ich wyciem górował głos potężny, tak mocny, jakby dziesięciu ludzi krzyczało jednocześnie. Poznałem natychmiast ten głos: to głos Brama Johnsona! Polował na zwierza ze swymi wilkami. Tak jest, on żyje. I to jeszcze nie wszystko. Tak jest, to nie wszystko jeszcze.

Mówił gorączkowo, z coraz bardziej wzrastającym wzruszeniem. Filip Brant słuchał go uważnie. Zaczynał już wierzyć, że to, co mu Piotr mówi, jest jednak prawdą.

– No, a potem? – zagadnął. – Widziałeś go pan kiedy jeszcze?

⁶ Brant – w oryginale nazwisko bohatera brzmi: Raine, Philip Raine. [przypis edytorski]

– Owszem – potwierdził Piotr. – I to zupełnie z bliska. Ale to, co wówczas zrobiłem, tego nie powtórzyłbym po raz drugi, choćby mi za to obiecywano wszystkie lisy, jakie gnieźdzą się między Jeziorem Athabaska a Zatoką Hudsona. Byłem wtedy jak nieprzytomny. Jak urzeczony wybiegłem z chaty i puściłem się za nimi. Szedłem po śniegu, za śladami wyciśniętymi przez łapy wilków i szerokie narty Brama. Aż w końcu usłyszałem szczękanie potężnych zębów wilczych, szarpiących mięso karibu i jakiś radosny ryk ludzki. Bram dopadł swej ofiary i dzielił się łupem z wilkami. Na szczęście wiatr miałem pomyślny, dzięki czemu ta horda nie mogła zwietrzyć mojej obecności. Ale gdyby tak kierunek wiatru się zmienił, co by się ze mną stało, na Boga?!

Wstrząsnął się cały nerwowo, załamując palce, aż trzeszczały.

– A jednak, proszę pana, nie ruszyłem się z miejsca, siedziałem ukryty za wysoką zaspą śnieżną. Po dobrej chwili Bram ze swą hordą ruszyli dalej. Wówczas podszedłem do leżącego na śniegu karibu. Był to duży, tłusty samiec. Obie tylne szynki miał zupełnie odcięte. Ruszyłem w dalszą drogę, za śladami Brama. Noc była tak ciemna, że na dziesięć kroków zupełnie nic nie widziałem. Doszedłem w ten sposób w pobliże małego lasku. Tam to Bram rozpałił ognisko. Mogłem mu się doskonale przyjrzeć. Poznałem go od razu, bo już przedtem, przed owym morderstwem, zaglądał dwukrotnie do mojej chatki. Rysy twarzy nic mu się nie zmieniły. Siedział otoczony swymi wilkami, głąskał je, mówił do nich, śmiejąc się dziko. Widziałem doskonale potężne, błyszczące zęby tych bestii. Patrzyłem, jak ocierały się jeden o drugiego, wtedy nagle oprzytomniałem. Zawróciłem i popędziłem z powrotem w kierunku chatki. A biegiem tak szybko, że nawet i wilki, zdaje mi się, nie zdołałyby mnie doścignąć... I to jeszcze nie koniec.

Wpatrywał się uważnie w Branta, wyłamując nerwowo palce.

– Wierzy mi pan teraz?

Filip potrząsnął głową.

– Zasadniczo wydaje mi się to niemożliwe. A jednak wierzę, że nie było to tylko przywidzeniem.

Piotr Breault odetchnął z widocznym zadowoleniem. Podnosząc się powoli z krzesła zagadnął:

– A będzie mi pan wierzył, jeżeli opowiem mu⁷ i resztę?

– Będę.

Piotr przeszedł do sąsiedniego pokoiku, służącego mu za sypialnię. Wyszedł stamtąd, niosąc w ręku mały woreczek ze skóry renifera, w którym zazwyczaj nosił hubkę i krzesiwo.

– Na drugi dzień – podjął opowiadanie – wróciłem znów na to samo miejsce, gdzie widziałem Brama. Bram już dawno poszedł w dalszą drogę ze swymi wilkami.

Resztę nocy przespał pod gałęziami dużego świerku, a potem poszedł dalej. Tam, gdzie szedł, śnieg wydawał się po prostu jakby gładko zmieciony – takie szerokie ślady pozostawiały na nim olbrzymie buciska tego potwora. Rozglądałem się uważnie dookoła, w nadziei, że znajdę może jakikolwiek przedmiot pozostawiony przez Brama w miejscu jego noclegu. I wreszcie znalazłem to.

Zaczął rozwiązywać mały woreczek ze skóry renifera. Filip Brant czekał w milczeniu.

– Są to, proszę pana – mówił Piotr – sidła na zające; widocznie wypadły mu z kieszeni podczas snu.

Podał je Filipowi.

Zawieszona u powały lampka oliwna oświetlała słabo stół, przy którym siedzieli. Filip Brant przyjrzał się uważnie owym sidłom i z piersi jego wyrwał się okrzyk zdumienia.

Piotr Breault czekał na ów okrzyk. Oto z początku nie chciano wierzyć temu, co mówił. Teraz on triumfował, radość biła z jego twarzy. A Filip niemal zatrzymał dech w piersi, wpatrując się z całym nateżeniem w ów tajemniczy przedmiot, trzymany w ręku, a błyszczący w świetle lampki. Tak,

⁷ *mu* – tu: daw. forma grzecznościowa, dziś: panu. [przypis edytorski]

nie było wątpliwości: były to sidła, długie mniej więcej na jeden jard⁸, z węzłem na jednym końcu, z ową typową pętlą „chippewayską” na drugim.

W gruncie rzeczy nic nadzwyczajnego.

Tak, tylko że sidła te zrobione były ze złotych włosów kobiecych!

⁸ *jard* (ang. *yard*) – ang. miara długości, ok. 914 mm. [przypis tłumacza]

Rozdział III. Brant postanawia działać

Zdarza się nieraz, że pod wpływem jakiegoś gwałtownego bodźca człowiek, nie zastanawiając się, podejmuje od razu jakieś postanowienie.

Filip Brant, po owym mimowolnym zupełnie okrzyku zdziwienia, który wyrwał mu się z ust, siedział w milczeniu. Nie rzekł ani słowa do Piotra. Wiatr ucichł, zaległa cisza, przerywana jedynie monotonnym tykaniem zegarka Piotra. Breault z wolna podniósł głowę, pochyłoną nad jedwabistymi sidłami. Oczy jego spotkały się ze spojrzeniem Branta.

Obaj mężczyźni mieli jednakie myśli w tej chwili. Gdyby owe włosy były czarne... Gdyby były brunatne... lub choćby jasnoblond, rudawe, jakie spotyka się u Eskimosek, mieszkających w dolnym biegu rzeki Mackenzie... Ale nie, miały one kolor złocisty, kolor czystego płynnego złota!

Filip nie mówiąc nic, wydobyl z kieszeni nóż i przeciął kilka włosów powyżej drugiego węzła. Włosy rozplotły się i spłynęły na stół lśniąca, miękka i jedwabista fała. Kolor ich był jasnozłoty, zupełnie niezwykły. Podobnego koloru włosów Filip nigdy jeszcze nie widział. I równocześnie pomyślał z podziwem, ile to potrzeba było cierpliwości i zręczności, by upleść z nich takie sidła.

Spojrzał na Piotra z niemym pytaniem.

– Znaczy to – odezwał się Piotr – że Bram musi mieć jakąś kobietę...

– Z pewnością – przytaknął Brant. – Kobietę żywą lub...

Nie dokończył zdania. Rozumieli się doskonale. Jedno i to samo okropne pytanie dręczyło ich umysły. Piotr wzruszył tylko ramionami. Cóż można było na to pytanie odpowiedzieć? Wzdrygnął się, bo oto niespodziewany powiew wiatru wstrząsnął gwałtownie drzwiami.

– Ej, do licha! – zakrzyknął, odzyskując całą zimną krew, i odsłaniając w uśmiechu swe białe zęby, dodał: – zdenerwowała mnie już ta cała historia. Bram ze swoimi wilkami i te osobliwe sidła... wieczorem... przy świetle lampki...

Rzucił znów okiem na leżące na stole włosy.

– Zastanów się pan – podjął Filip. – Widziałeś już kiedyś włosy podobnego koloru?

– Nie, nigdy w życiu.

– A przecież widziałeś już niejedną białą kobietę, czy to w forcie Churchill, czy w York Factory, czy w Cumberland House, Norway House lub w forcie Albany!

– Naturalnie! I w innych stronach także, ale nigdy nie spotkałem kobiety, która miałaby włosy tego koloru.

– A Bram, o ile nam wiadomo, nie zapuszczał się nigdy dalej na południe jak do fortu Chippewyan. Wszystko to razem wydaje mi się zupełnie niezrozumiałe. A ty, co sądzisz o tym? No, mówże! O czym tak myślisz?

– O czym myśle? – powtórzył powoli Piotr, wpatrując się w swego gościa – myślę o wilkołaku... o owych czasach... i zaczynam powoli w nie wierzyć, choć wcale nie jestem zabobonnym... wcale nie...

Z pewnym zażenowaniem mówił dalej niepewnym głosem:

– Ale, widzi pan, ludzie opowiadają o Bramie i jego wilkach takie potworne historie. Podobno, jak mówią, zaprzedał on swą duszę diabłu i w zamian za to może, kiedy mu się tylko spodoba, latać w powietrzu lub przemieniać się w wilka. Opowiadano mi, że widzieli go ludzie, jak gdzieś wysoko na niebie śpiewał jakąś dziką piosenkę, przy akompaniamencie wyjących wilków. Natknąłem się też na szczep Indian, pogrążonych w modłach i adoracji, bo widzieli Brama otoczonego wilkami, jak budował sobie zaklęty pałac w samym środku chmury, błyskającego gromami. Wobec tego nic dziwnego, że Bram łapie zające w sidła, splecione z włosów kobiecych.

– I równie nic dziwnego, że potrafi włosom czarnym nadać kolor złocisty – wtrącił Filip.

– Ha, co w tym wszystkim jest prawdą? Któż to może wiedzieć?

Na twarzy Piotra wyczytać można było wewnętrzną walkę. Starał się otrząsnąć z owych przesądów i zabobonów, które drzemały dotąd gdzieś na dnie jego duszy, a obecnie nagle odezwały się z całą siłą. Wreszcie zacisnął mocno zęby, wyprostował się i odrzucając głowę w tył, oświadczył:

– Wszystko to są tylko bajeczki, proszę pana. Umyślnie pokazałem panu te sidła. Bram Johnson nie umarł. On żyje! I ma u siebie jakąś kobietę, o ile...

– Tak... o ile...

I znowu przemknęła im ta sama straszna myśl, której wypowiedzieć głośno nie mieli odwagi.

Filip owinął ostrożnie pukiel włosów wokół palca. Wydobył z kieszeni mały skórzany woreczek i schował do niego owe niezwykłe sidła. Potem nabił fajeczkę tytoniem i zapalił. Podszedł do drzwi, otworzył je i stał chwilę nieruchomo, wsłuchany w ponury świst wichru. Piotr siedział dalej przy stole, obserwując go uważnie.

Wreszcie Filip zamknął drzwi i zajął swe miejsce przy stole. Widać było, że już powziął jakąś decyzję.

– Stąd do fortu Churchill jest 300 mil angielskich – mówił z namysłem. – Mniej więcej w połowie drogi, w pobliżu Jeziora Jezusa, znajduje się kwatera Mac Veigha i jego ludzi. O ile wybiorę się w pościg za Bramem, musiałbym przesłać krótki raport do Mac, następnie dalej, do fortu Churchill. Słuchaj tedy, Piotrze: czy mógłbyś na parę dni zostawić w spokoju twoje łapki na lisy i zanieść ten mój raport?

– Dobrze, zaniosę – odparł Piotr po krótkim namyśle.

Do późnej godziny w nocy Filip pisał swój raport. Wysłano go w pościg za bandą złodziei-Indian. Obecnie zawiadomił inspektora Fitzgeralda, komendanta dywizji w forcie Churchill, o tym, czego dowiedział się od Piotra Breault, a czemu należało jednak dać wiarę. Bram Johnson, potrójny morderca, żyje! Więc on pójdzie w pościg za nim. Prosi komendanta, by na jego miejsce wysłano kogoś innego celem schwytania owej bandy złodziejskiej. Wreszcie podał z możliwą dokładnością, w którym kierunku zamierza wyruszyć w pościg za Bramem.

Skończywszy pisać raport, zapieczętował go. Raport był obszerny i wyczerpujący. Brakowało w nim jednej tylko rzeczy. Filip Brant nie wspomniał ani słówkiem o owych sidłach i złocistych włosach kobiecych.

Rozdział IV. W drogę!...

Nazajutrz rano, choć szalała jeszcze zawierucha śnieżna, Filip Brant, pod przewodnictwem Piotra Breaulta, puścił się w drogę. Piotr doprowadził go do miejsca, w którym przed zaledwie trzema dniami nocował Bram Johnson w towarzystwie swych wilków. Przez te trzy dni wichry nawiały tyle śniegu z pustynnego Barrenu, że ów świerk, pod którym wówczas Bram nocował, zasypany był prawie do połowy wysokości zwałami twardego śniegu.

Piotr Breault określił jak najdokładniej kierunek, w którym najprawdopodobniej następnego ranka wyruszył Bram. Brant wydobyl busole i ustawił jej strzałkę w odpowiedni sposób tak, aby mógł się w każdej chwili dokładnie zorientować, gdzie jest. W ten sposób doszedł do jednego, zupełnie pewnego wniosku.

– Bram – rzekł do Piotra – ukrywa się gdzieś na granicy Barrenu, wśród lasów i zarośli. W tym też kierunku pójdę. Możesz jeszcze dodatkowo, uzupełniając mój raport, powiedzieć Mac Veghowi i to. Ale pamiętaj: o sidłach ani słowa! Tak będzie lepiej, sam to rozumiesz. Jeżeli bowiem Bram jest rzeczywiście wilkołakiem i przedzie złote włosy na wietrze...

– Nic nie powiem, proszę pana – zapewnił Piotr drżącym głosem.

Uścisnęli sobie ręce na pożegnanie i rozstali się w milczeniu. Filip obrócił się twarzą na zachód i wkrótce stracił z oczu Piotra Breaulta.

Nie upłynęła jeszcze godzina, a już Filip Brant zaczął sobie zdawać sprawę z niebezpieczeństwa tej karkołomnej wyprawy, na którą sam dobrowolnie się porwał. Sanki swoje i zaprzęg psów zostawił u Piotra Breaulta, uważając, że tak będzie lepiej. Cały jego bagaż, umocowany wygodnie na plecach, nie ważył więcej niż czterdzieści funtów⁹. Mieścił się tam zwinięty namiot z najlepszego jedwabiu, ważący trzy funty i mogący oprzeć się skutecznie najgwałtowniejszym wichrom. Dalej niezbędne przybory kuchenne, o tej samej wadze, piętnaście funtów mąki i cały magazyn artykułów spożywczych w formie tabletek lub sproszkowanych pożywnych ekstraktów, a więc: jajka, kartofle, kawa itp. Zapas tej żywności, doliczając do tego zwierzynę, jaką po drodze może upolować, powinien mu wystarczyć na miesiąc. Uzbrojenie jego składało się ze strzelby i służbowego rewolweru-colta z odpowiednim zapasem amunicji.

Licząc w myśli owe zapasy tak cennej żywności ukryte w worku na plecach, roześmiał się trochę drwiąco. Oto przyszła mu równocześnie do głowy inna myśl – wspomnienie z lat dawnych. Co też powiedzieliby jego dawni przyjaciele, gdyby tak jakimś cudem znaleźli się w tej chwili tu, obok niego. A przede wszystkim, co powiedziałyby i co zrobiłyby Mignan Davenport? Wyobraża sobie, z jakim obrzydzeniem i zgrozą skrzywiłyby swą arystokratyczną buzię! Ten wicher, co hula swobodnie po Barrenie, zmroziłby błękitną krew w jej żyłach. Nie wytrzymałyby tego! Wiedział o tym, bo znał ją przecież doskonale... Był czas, kiedy mówiono o ich małżeństwie.

To ciekawe jednak, że w tej chwili, gdy idzie w tropy owego tajemniczego Brama, może jeszcze myśleć o niej. Trudno, niepodobna odpędzić obrazu tej natrętnej myśli. A mogłby się założyć, że Mignon zapomniała już zupełnie o nim, tak samo jak jego dawni przyjaciele. Miłość i przyjaźń nie trwała długo. Mignon pierwsza postarała się mu to udowodnić. Skrzywił twarz w grymasie i zaczął się śmiać wesoło.

Jak to się jednak dziwnie wszystko składa na tym świecie! Jakie bajeczne kawały trafiają się w życiu! Pamięta doskonale: kiedyś przeziębził się – przyszło zapalenie płuc. Z każdym dniem chudł i mizerniał coraz bardziej, policzki zapadły mu się na wybladłej twarzy. Jednym słowem: galopujące suchoty, czy coś w tym guście. A w dużych błękitnych oczach Mignon malowało się przerażenie, rosnące z każdym dniem. Aż wreszcie pewnego dnia przyszła do niego, oświadczając mu z naiwną

⁹ *funt* (ang. *pound, pound-mass*) – tu: jednostka masy, dziś ok. 0,45 kg, w XIX w. mniej, m.in. 0,37 kg. [przypis edytorski]

otwartością, że byłoby jej strasznie nieprzyjemnie przyznać się przed znajomymi, że zaręczona jest z suchotnikiem.

Filip na to wspomnienie wybuchnął śmiechem tak hałaśliwym i szczerym, że Bram mógłby go posłyszeć z odległości nawet stu jardów. On – suchotnikiem! Rozkrzyżował szeroko potężne ramiona, aż stawy zatrzeszczały, i wciągnął głęboko w płuca rześkie, mroźne powietrze. Czuł się mocny i zdrowy jak rydz. Wyzdrowiał tutaj, wśród tych olbrzymich borów, śniegów i lodów. Kochał całym sercem te północne strony, które mu wróciły zdrowie. Kochał je i dlatego przed dwoma laty wstąpił w służbę królewskiej policji, ogarnięty żądzą przygód i awantur. Kiedyś wróci może na jakiś czas tam na południe, do swych znajomych.

Ależ zrobią wielkie oczy na jego widok! A Mignon, ta chyba umrze ze zgryzoty, kiedy zobaczy go w tak znakomitym zdrowiu!

Potem myśli jego wróciły znów do owego zagadkowego Brama. W ciągu dwóch lat swej służby zebrał stopniowo szereg informacji o tym dziwnym, a niebezpiecznym człowieku.

Indianie i Metysi uważali Brama za jakiegoś potwora, za potężnego czarownika, pozostającego w porozumieniu z diabłami. W oczach policji natomiast uchodził on za mordercę i jednego z najniebezpieczniejszych zbrodniarzy w całym Northland, którego należało jak najszybciej złapać i unieszkodliwić. Toteż ten szczęśliwiec, któremu udałoby się Brama oddać w ręce władzy, żywego czy umarłego, mógłby być z góry pewnym awansu na sierżanta. Niejeden próbował już szczęścia, podniecony ambicją i nadzieją awansu, aż ostatecznie wszyscy doszli do przekonania, że Bram już nie żyje.

Filip Brant nie dlatego jednak zapuszczał się teraz w to pustkowie zimnego Barrenu, że pragnął zdobyć rangę sierżanta. Nie. I tak już niedługo wygaśnie jego kontrakt, a potem wcale nie myśli zostać dłużej w służbie policyjnej. Inny był powód, inna siła wewnętrzna gnała go naprzód.

Od owej chwili, gdy ujął w rękę ową sieć ze złotych włosów, opanowało go dziwne wzruszenie – uczucie nieznanne mu dotychczas, z którym nie zdradził się zupełnie przed Piotrem Breaultem. Nie był on w tej chwili zimnym służbistą, polującym na zbrodniarza, zawziętym na jego wolność lub życie. Prawda, zdawał sobie doskonale z tego sprawę, że obowiązkiem jego jest schwycić Brama i odprowadzić go skutego do głównej kwatery policji. I zdecydowany był wypełnić ten swój obowiązek, o ile... Owa złota sieć była tą niewiadomą, którą musiał brać w rachubę w swych planach. Sprawa komplikowała się poważnie...

To prawda, były chwile, kiedy mówił sobie, że on sam dobrowolnie komplikował całą sprawę, może bez słusznej przyczyny. Przecież Bram mógł wejść w posiadanie tych włosów na tysiąc różnych sposobów. A może owe niby-sidla były tylko jakimś talizmanem, który Bram, z natury już zabobonny, nosił przy sobie od szeregu lat, talizmanem chroniącym go od chorób i czarów.

Ale Filip jakoś nie chciał w to uwierzyć. A kiedy w południe zatrzymał się, by rozpalic ogień, zagotować herbatę i odgrzać placek owsiany – wydobyl z portfela ów pęk złotych włosów i zaczął mu się bacznie przyglądać.

Nie, stanowczo nie! Włosy te musiały być niedawno dopiero obcięte, to nie ulega wątpliwości. Przecież takie były miękkie, jedwabiste, taki miały żywy połysk! Cieniutkie były, długie, wszystkie jednakowej długości.

Zjadł śniadanie i puścił się w dalszą drogę. Przez ostatnie trzy dni szalała taka śnieżycą, że zniknęły zupełnie wszelkie ślady po Bramie i jego wilkach. Mimo to jednak, Filip był najmocniej przekonany, że Bram nie wyszedł poza obręb wielkiego Barrenu północy, owego Barrenu, którego nie znajdziesz na żadnej mapie – oceanu śniegów, wśród których od tak dawna ukrywa się ten morderca. Olbrzymia pustynia śnieżna, szerokości pięciuset mil od wschodu, leżąca mniej więcej pod sześćdziesiątym stopniem szerokości, była dla Brama i jemu podobnych tym mniej więcej, czym był ongiś Ocean Spokojny dla piratów. Straszliwe te pustkowia (Filip wzdrygał się już na samą myśl o nich) gorsze były nawet, niż okolice Bieguna Północnego, gdzie przynajmniej ma się Eskimosów

za towarzyszy. To, na co się porwał, było niesłychanym zuchwalstwem. Liczył tylko, że utrzyma się przez dłuższy czas ładna pogoda i że uda mu się wkrótce odnaleźć świeże tropy Brama i jego wilków.

Zdecydowany był też nie zapuszczać się poza strefę drzew i zarośli, gdzie z pewnością Bram urządził sobie legowisko, do którego prędzej czy później zechce powrócić. Ale jeżeli Bram poszedł prosto przed siebie, w śnieżną pustynię Barrenu, mogą upłynąć całe długie tygodnie, zanim stamtąd zechce powrócić.

Śnieżyca, szalejąca już od kilku dni, uciehła w ciągu nocy. Przez cały tydzień pogoda była prześliczna. Mróz wprawdzie był silny, ale śnieg już nie padał.

W ciągu tego tygodnia Filip zrobił sto dwadzieścia mil w kierunku zachodnim. Ósmej nocy, kiedy siedział przy ognisku, bawiąc się znów rozplataniem złotej sieci, nastąpiło nareszcie owo upragnione spotkanie.

Rozdział V. Spotkanie z Bramem

Noc była tak jasna, że czarne cienie wielkich świerków, rysujące się na śniegu, wydawały się jak żywe. Sklepienie niebios czyściutkie, niby lazur morza, usiane było miliardami gwiazd. Można się było obejść bez światła księżyca. Na odległość trzystu jardów Filip mógł dostrzec wyraźnie idącego karibu.

Siedział, grzejąc się przy ogniu, i głaskał sieci z jedwabistych włosów. Uszu jego dochodziła owa „muzyka niebios”, cicha, fantastyczna harmonia dziwnych dźwięków i tonów, rozlegająca się w tych stronach przed świtem. To jakiś przenikliwy gwizd, to znów łagodne pomruki, przypominające mruczenie kota, to znów dziwne, niemal metaliczne dźwięki, podobne do brzęczenia pszczoł.

Filip splótł z powrotem wszystkie oczka sieci i schował ją starannie do woreczka. Nagle wyprostował się i bacznie nasłuchiwał. Gdzieś z oddali dobiegały inne dźwięki, nie mające nic wspólnego z ową „muzyką niebios”. Zerwał się na równe nogi i przemykając ostrożnie wśród zarośli podsunął się na kilka jardów od ogniska, niemal na sam skraj lasu.

Z dość znacznej odległości – jednej mili, może dwóch, doleciało do jego uszu ponure wycie wilków.

W ciągu dwóch lat swej służby w policji Filip niejednokrotnie już słyszał takie głosy. Nigdy jeszcze nie wywarły one na nim podobnie silnego wrażenia. Krew uderzyła mu gwałtownie do głowy. Błyskawicznie przypomniał sobie to wszystko, co mu mówił Piotr Breault. Tak jest! Nie ulega żadnej wątpliwości: to Bram poluje ze swą hordą wilków. Idą w tę stronę!

Wrócił czym prędzej do ogniska, rozgrzał nad nim zimną lufę swej strzelby, po czym zgasił ogień, zasypując płonące gałęzie śniegiem. Podszedł znów na sam kraj lasku, gdzie obrał sobie stanowisko u stóp najwyższego świerku, jaki znajdował się w pobliżu. W razie niebezpieczeństwa będzie mógł się wdrapać na drzewo.

Niebezpieczeństwo zbliżało się szybko. Cała horda wilków, wiedzona przez człowieka-zwierzę, gnała z ogromnym impetem prosto na niego. Wilki były już w odległości trzystu kroków, kiedy Brant zdecydował się wejść na drzewo. Wspiął się, dysząc ciężko, a serce biło mu niby młot. Świerk, wysoki na jakieś dwanaście stóp, nie był grubszy od ramienia mężczyzny, był schronieniem niezbyt bezpiecznym. Przypomniało mu się, jak to kiedyś wypadło ukryć paręset funtów mięsa wśród gałęzi dużych cedrów, o pniach grubszych od jego uda. A w ciągu nocy stada wilków przegryzły pień każdego drzewa.

Usadowiwszy się możliwie wysoko na drzewie, Filip powiódł wzrokiem po śnieżnej bieli Barrenu, oświetlonej blaskiem gwiazd.

Wycie wilków ucichło, najlepszy znak, że polowanie dobiegło już końca. Słyszać było tylko pospieszny stukot kopyt karibu na twardej skorupie śniegu. Filip dojrzał też czarną sylwetkę zwierza, uciekającego w galopie przed ścigającą go hordą, która niemal już podcinała mu nogi. Wilki, w liczbie około dwudziestu, rozwinięte w długie półkole, starały się odciąć drogę ucieczki biednemu karibu, który pędził wzdłuż skraju lasu, na próżno próbując dostać się w głąb zarośli. Szare cielska wilków, mignęły tylko przed oczami Filipa i wkrótce wszystko zniknęło mu z oczu.

Filip zsunął się z drzewa i przycisnął w zaspach śniegu. Według jego obliczeń karibu zdoła ubiec jeszcze milę, zanim dostanie się pod kły i pazury goniących go dzikich bestii. Ukryty w cieniu drzewa czekał więc cierpliwie, z wyczerpaną uwagą, jednocześnie pewny, że Bram wkrótce będzie wracać tą samą drogą.

I rzeczywiście, w kilkanaście minut później, usłyszał typowy, charakterystyczny szelest sunących po śniegu nart. Filip poczuł, jak krew napływa mu gwałtownie do głowy. Oto za parę minut ujrzy owego poszukiwanego zbrodniarza. Ułożył już sobie wcześniej cały plan działania. Okoliczności składały się dla Filipa nadspodziewanie pomyślnie. Gdyby Bram znajdował się w otoczeniu swych wilków, które w każdej chwili na znak swego pana gotowe były rzucić się na wroga, schwytywanie

Brama przedstawiałoby ogromne trudności. Ale w tej chwili wilki zajęte były upolowaną zdobyczą; Bram przechodzić będzie więc sam, nietrudno będzie go złapać.

Filip przystanął tuż za świerkiem, strzelbę postawił obok. W prawą rękę chwycił swój rewolwer służbowy. Z wytężonym wzrokiem czekał na zjawienie się Brama, który lada chwila powinien wracać tą samą drogą.

Ale w pustkowiach Barrenu nie można polegać ani na wzroku, ani na słuchu. Podczas gdy Filip szukał go wzrokiem po rozległej śnieżnej pustce, Bram zjawił się nagle, jakby spod ziemi, w odległości niespełna dwudziestu kroków od niego.

Filipa przeraził ten widok niespodziewany, tak bardzo, że ledwo powstrzymał okrzyk zdumienia.

W tej właśnie chwili Bram przystanął, wciągając pełną piersią powietrze i dysząc ciężko. Nadstawił uważnie głowę w kierunku, gdzie jego wilki wciąż ucztowały.

Bram był naprawdę olbrzymiego wzrostu; być może w półmroku nocy wydawał się jeszcze wyższy. Długie, zwichrzone kudły opadały mu na ramiona, brodę miał gęstą, krótką, a oczy lśniły w ciemnościach, zupełnie jak oczy kota. Wyraz twarzy na poły ludzki, na poły bydłęcy – jakiegoś stworzenia, co czuje, że na niego polują tak samo, jak ono poluje na inne zwierzęta. Na zawsze wryły się w pamięć Filipa rysy tej twarzy, twarzy jakiegoś szalonego straceńca, wyrzuconego poza margines ludzkości.

Nadeszła chwila ostateczna. Filip zacisnął mocno dłoń, w której trzymał kolbę rewolweru, i postąpił o parę kroków do przodu, wynurzając się z cienia.

Bram mógłby go już spostrzec, gdyby nie to, że właśnie odrzucił w tył swą ogromną głowę, uwalniając jednocześnie z piersi potężny, dziki okrzyk. Przypominało to jakiś przeciągły grzmot, przechodzący stopniowo w przerażające wycie, które z pewnością słychać było w odległości paru mil. Podobnego wycia Filip nie słyszał nigdy w życiu. Był to widocznie sygnał, za pomocą którego Bram, człowiek-zwierzę, zwoływał swych braci-wilków.

Nagle sygnał urwał się. Może jakiś instynkt ostrzegł Brama, że grozi mu niebezpieczeństwo. Zanim Filip zdążył zdecydować się na jakieś wystąpienie, Bram już niknął mu z oczu, sunąc po śniegu na swych nartach z nieopisaną szybkością. Równocześnie do uszu Filipa dobiegł jakiś niesamowity, szalony śmiech, ten sam śmiech, o którym z drżeniem opowiadał mu niedawno Piotr Breault.

Nie ruszając się z miejsca, Filip zaczął wołać głośno:

– Bram! Bram Johnson! Stój! Stój! W imieniu Jego Królewskiej Mości!

Bram usłyszał wołanie, nie przystanął jednak, tylko przyspieszył jeszcze bieg. Filip krzyknął ponownie:

– Bram, Bram Johnson!

A cała odpowiedź jaką usłyszał, to był grubiański szyderczy śmiech.

Filip podniósł ramię, nie celując zbyt uważnie, wystrzelił dwukrotnie w kierunku uciekającego. Kule przeleciały ze świstem koło samej głowy Brama.

– Bram! Bram Johnson! – krzyknął Filip po raz trzeci.

I tym razem wołanie nie odniosło żadnego skutku. Opuścił ramię, ścigając wzrokiem olbrzymią czarną sylwetkę uciekającego, która wkrótce rozplynęła się w mrokach nocy.

I znowu Filip został sam wśród śnieżnego pustkowiecia. Teraz dopiero uprzytomnił sobie całą dziecinność swego zachowania. Wołał na Brama tak drżącym głosem, że tylko na śmiech się naraził. Z pewnością też Bram, spostrzegłszy, że ma do czynienia z niezdecydowanym, bojaźliwym przeciwnikiem, najpewniej wróci tu ze swymi wilkami.

Niespokojnie i lękliwie wpatrywał się w śnieżną przestrzeń, gdzie Bram zniknął mu z oczu. Wracając do zarośli, wśród których rozbił swój namiot, wspominał żaloszny los kaprala Lee i jego towarzyszy. Czyżby i jego czekało coś podobnego?

Rozważał w myśli wszystkie możliwe szanse, bo Filip był jednak dzielnym człowiekiem i nigdy nie poddawał się rozpacz. Zasiadł przy dogasającym i słabo już dymiącym ognisku, starając się uporządkować swe myśli i odzyskać zupełną równowagę umysłu.

Bram nie wydawał mu się strasznym. Bez wahania i bez trwogi podjąłby z nim walkę. Kurczowo zacisnął dłoń na kolbie rewolweru. Ale walka czeka go nie tylko z Bramem, lecz i z jego hordą wilków. Bram zapewne sam nie pokaże się mu na oczy; poszczuje na niego swe wilki, a sam śmiać się tylko będzie szydlerzo. Tak samo było z kapralem Lee. Teraz, kiedy Filip go już odszukał i zdradził się przed nim ze swymi zamiarami, Bram z pewnością starać się będzie unieszkodliwić natychmiast swego prześladowcę, aby ratować własne życie.

Nagle przyszła mu pewna myśl do głowy. Bram przecież – tak jak go widział w mroku wieczorem – nie miał żadnej broni. Ta myśl napełniła go otuchą. Wdrapie się na drzewo, i wówczas będzie mógł stoczyć zwycięską walkę z całą hordą wilków. Wystrzela je wszystkie po kolei. Mając strzelbę, rewolwer i odpowiedni zapas amunicji, da sobie z nimi radę. Tylko trzeba mieć pewność, że rzeczywiście Bram nie posiada strzelby, bo w tym wypadku...

Podniósł porzucony poprzednio kożuch i okrył się nim. Do kieszeni schował naboje, tyle tylko ile się zmieściło. Następnie podszedł na skraj lasu; tam wybrał sobie gruby, sękaty świerk, rosnący na osobności.

Świerk ten nadawał się znakomicie na punkt obserwacyjny. Będzie mógł wystrzelać całą hordę. Ale, jeżeli Bram posiada strzelbę, wtedy świerk ten będzie dla niego znakomitym celem do strzału.

Bądź co bądź, należało się zdecydować. A Filip nie miał innego wyboru.

Rozdział VI. „Złapał Kozak Tatarzyna...”

Filip czekał. W pewnej chwili spojrzął na zegarek: dochodziła północ, a więc czeka już dobrą godzinę. Najbliższy nawet szmer, dochodzący czy to od Barrenu, czy z pobliskich zarośli, przejmował go nieopisanym lękiem. Przekonany był święcie, że Bram zjawi się ze swoją hordą niespodziewanie, wyrośnie jak spod ziemi, że nie postyszy ani stapania Brama, ani też ostrożnych kroków skradających się ku niemu wilków.

Dwukrotnie załopotał mu nad głową wielki puchacz śniegowy, a za trzecim razem puchacz ów rzucił się na przemykającego wśród zarośli zająca. Za każdym razem Filip pewny był, że nadchodzi już moment decydujący. Potem znów doleciał go pisk małych białych lisów, kręcących się tu i tam, ciekawych na wszystko, jak małe dzieci. Ilekroć postyszał te piski, targany lękiem wdrapywał się coraz wyżej na drzewo. Wreszcie przyszła reakcja i pewne odprężenie nerwowe – tętno zaczęło mu bić spokojniej i regularniej.

Może jednak uniknie tego nieszczęścia, które sam sobie ściągnął na głowę? Może Bram przeląkł się strzałów do tego stopnia, iż nie ma odwagi pokazać się znowu. Teraz Bram nie wydawał mu się już takim strasznym potworem, jak to było w pierwszej chwili. Na jego wyniszczonej twarzy wycisnęła swe piętno rozpacz obłędna. Filip zaczął odczuwać pewną sympatię do tego nieszczęśliwego potwora.

Niewątpliwie Bram, który od lat nie żył dla świata i ludzi, popaść musiał w pewnego rodzaju obłęd pod wpływem tej okropnej samotności. Już i wilki Brama nie wydawały mu się teraz takie straszne, a polowanie na człowieka jakby straciło dla Filipa cały urok.

Przypomniał sobie znowu ową sieć ze złotych włosów. Nie, stanowczo nie! Te jedwabiste, połyskujące włosy; które miał starannie schowane w kieszeni, nie mogły pochodzić z jakiejś dawnej transakcji zamiennej. Włosy te ścięte zostały niedawno z głowy kobiety. W takim razie Bram nie był więc samotny. Miał jakąś kobietę. I to kobietę z takimi włosami!

Filip zsunął się z drzewa na ziemię.

Przez całą godzinę spacerował wzdłuż skraju lasu. Potem rozpałił na nowo ognisko, bacznie wsłuchując się w każdy najdrobniejszy nawet szelest. Mróz chwytał coraz ostrzejszy. Cichła z wolna owa „muzyka niebios”, przechodząc w nieokreślony, coraz słabszy szmer. Gwiazdy bledły kolejno – rzekłbyś, cofały się gdzieś w głąb niebios, w zaświaty, coraz dalej od naszej ziemi.

To stopniowe znikanie gwiazd, które Filip obserwował zawsze z równym zainteresowaniem, jest jednym z najosobliwszych fenomenów w tych podbiegunowych okolicach. Wydaje się, jak gdyby setki tysięcy rąk niewidzialnych przesuwano się po sklepieniu niebieskim, gasząc je po kolei – najpierw najślabiej świecące, potem jaśniejsze i większe. Aż wreszcie ciemność zapadła zupełna, dopiero w jakieś pół godziny później ponad tą przepastną ciemnością wstawała zorza północna.

Kiedy ziemię zaległy nieprzeniknione ciemności, Filip poczuł, że lęk znów go ogarnia. Może właśnie Bram czekał, aby go napaść zniemacka? Przy blasku ogniska spojrzął na zegarek: była godzina czwarta rano. Zagasił ognisko i wdrapał się z powrotem na drzewo. Bram się nie zjawiał.

Wreszcie wstała szara jutrzienka.

Filip zszedł znowu z drzewa i już po raz trzeci rozniecił ogień, aby sobie przyrządzić śniadanie. Zagotował podwójną porcję kawy. O siódmej rano był już gotów do dalszej drogi, zdecydowany ścigać dalej owego zagadkowego człowieka. Nie ma co mówić: Bram stracił tej nocy znakomitą sposobność, by pozbyć się raz na zawsze swego prześladowcy. A co więcej, uciekając, sam wskazywał mu drogę wiodącą do odkrycia tajemnicy owych złotych włosów. Wszystko zatem składało się po myśli ścigającego.

Filip ruszył w drogę, posuwając się wzdłuż brzegu lasu. Po jakichś trzydziestu minutach marszu doszedł do miejsca, gdzie w nocy rozegrała się ostatnia walka wilków z karibu. Ścigane zwierzę upadło w odległości pięćdziesięciu jardów od zarośli. W promieniu dwudziestu stóp śnieg

był zupełnie wydeptany kopytami karibu i łapami wilków. Czerwone plamy krwi dookoła; po śniegu walały się obgryzione kości i płaty skóry – jedyne resztki pozostałe po wspaniałym zwierzu.

Można było jeszcze dojrzeć miejsce, w którym Bram odpiął swe narty i położył je na śniegu. Odciski jego butów mieszały się ze śladami wilczych łap. Bram przyszedł widocznie jeszcze na czas, by uratować dla siebie najlepszy kąsek – udo karibu. I tylko gwiazdy spoglądały z góry na tę biesiadę wygłodniałej hordy, co pożarła niemal wszystko oprócz wnętrzości. Spoglądały też na Brama, który na miejscu musiał nasycić swój głód, pozostawiając tylko odpadki. Na białej karcie śniegu można to było wszystko wyczytać z całą dokładnością, jak z książki. I teraz dopiero Filip uświadomił sobie w całej pełni, jakiego okropnego niebezpieczeństwa udało mu się uniknąć.

Ale na białej karcie śniegu wyczytał jeszcze coś więcej. Oto Bram miał ze sobą sanki, na które załadował pozostałą resztę karibu. Oglądając ślady na śniegu, Filip mógł stwierdzić, że sanki były typu „votapanask”, znacznie jednak dłuższe i szersze. Reszty można się było domysleć z łatwością. Kiedy cała horda już najadła się do syta, Bram zaprzągnął wilki do sanek i puścił się w dalszą drogę, prosto na północ, poprzez pustkowia Barrenu. Trzeba było tylko iść za jego śladem.

Filip nabierał suchych gałęzi. Rozpalił duży ogień i przyrządził sobie zapas żywności wystarczający na sześć dni. Postanowił przez trzy dni iść za śladem Brama poprzez te straszne pustkowia Barrenu, nie zbadane dotychczas przez nikogo. Iść jeszcze dalej, nie mając sanek, byłoby prostym szaleństwem. Zatem przez trzy dni będzie go ścigał; trzy dni pozostanie mu na powrót. Ale nawet i taka krótka ekspedycja była niesłychanie ryzykowna. Było to po prostu igranie ze śmiercią, bo nad głową Filipa wisiała najstraszniejsza ze wszystkich gróźb – groźba burzy śnieżnej.

W chwili, kiedy wyruszył w drogę, wytyczając dokładnie kierunek za pomocą busoli, poczuł pewien lęk. Dzień był szary i ponury. Jak daleko okiem sięgnąć – jedna płaszczyna śnieżna, sięgająca aż po krańce horyzontu.

Już po godzinie marszu Filip znalazł się wśród absolutnej pustki i milczenia. Zniknęły ciemne zarysy owego lasku, z którego wyruszył w drogę. Sklepienie niebios ciążyło nad nim, niby ciężkie wieko ołowianej trumny. Niejeden dostawał nagłego obłędu, nie mogąc znieść długo tego przytłaczającego szarego całunu niebios.

I jemu już ta samotność dawała się coraz bardziej we znaki. Z całym wysiłkiem woli posuwał się wciąż naprzód, jakkolwiek coś go ciągnęło wstecz, jakkolwiek miał coraz większą ochotę zawrócić z tej drogi. Nigdzie ani jednego drzewa, ani krzaczka nawet. Pustka zupełna i tylko po niebie nisko przewalały się szare chmury, ciągnące z północy i ze wschodu. A sklepienie niebios wydawało się tak nisko zawieszony, że wystarczyło – zda się – rzucić kamykiem, by je dosięgnąć.

Za pomocą busoli, w ciągu dwóch godzin sprawdzał aż sześć razy kierunek swej drogi, wiodącej śladami pozostawionymi przez Brama. Ślady te prowadziły prosto na północ, bez najmniejszego schodzenia w bok. A przecież Bram mógł się tylko orientować własnym instynktem. I mimo to nie zboczył. Ani na metr.

Po upływie dalszej godziny Filip skonstatował, że Bram musiał zatrzymać się na pewien czas z sankami, nie wyprzegając jednak wilków. Po prostu zszedł tylko z sanek, nałożył narty i biegł piechotą za sankami. Wnioskując ze śladów pozostawionych przez narty, doszedł do przekonania, że Bram pędził, robiąc olbrzymie susy, także z łatwością mógł przebyć sześć mil w tym samym czasie, w jakim on sam zaledwie zdąży zrobić cztery.

Była godzina pierwsza w południe, kiedy Filip zatrzymał się celem zjedzenia obiadu. Według jego obliczeń uszedł piętnaście mil. Kiedy zabrał się do jedzenia, opadły go ponure myśli. Skoro Bram zabrał ze sobą na drogę spory zapas mięsa, to widocznie z tą myślą, aby nie zabrakło pożywienia dla niego i dla hordy wilków w ciągu tej długiej podróży wśród rozległych pustkowi Barrenu. Bram, sunąc szybko na saniach, zdoła w ciągu trzech dni przebyć około stu pięćdziesięciu mil. Tymczasem on w tym samym czasie nie potrafi zrobić więcej, aniżeli trzecią część tej drogi.

Aż do godziny trzeciej po południu szedł bez zatrzymania się śladami Brama. Maszerowałby jeszcze dłużej, gdyby nie to, że zaczął padać gęsty śnieg, uniemożliwiający posuwanie się naprzód.

Widząc, że zawierucha śnieżna nie ustaje, postanowił zbudować sobie schronienie, w którym mógłby spędzić noc.

Wiedział, biorąc przykład z Eskimosów, jak się do tego zabrać. Wyszukał duży zwal twardego zmarzniętego śniegu i zaczął w tym zwale, od strony osłoniętej od wiatru, za pomocą małej siekierki, jaką miał za pasem, wybijać wąski tunel. Łopatę zastąpiły mu narty, którymi wyrzucał z tunelu wyrąbany śnieg. Kiedy tunel ów, szeroki na dwie stopy, był już dość długi, by mógł się wcisnąć do wnętrza, zaczął wewnątrz wyrąbywać ściany, żeby stworzyć sobie rodzaj małego pokoiku, na tyle obszernego, aby móc w nim rozstawić swe połowe łóżko. Pracował niemal przez godzinę. Z prawdziwym zadowoleniem i radością spojrzął po ukończeniu pracy na ten swój „dom”, do którego nie mógł dotrzeć ani mróz, ani zawieja śnieżna.

Miał przy sobie mały zapas suchego drzewa na podpałkę, łatwopalnego, bo sporządzonego z gałązek świerkowych. Miał też długi kij, na końcu którego powiesił swój czajnik napełniony śniegiem. Pełen otuchy rozpałił ogień, poświstując przy tym wesoło. Tymczasem zapadł szybko zmrok zupełny, niby czarna nieprzenikliwa zasłona. Ani jednej gwiazdki na niebie. W odległości dwudziestu kroków nie można było nic odróżnić, nawet śniegu.

Kiedy zjadł kawał wędzonki z plackiem owsianym, wypił gorącą herbatę i zapalił fajeczkę, wydobyl z kieszeni ową złocistą siatkę. Przy gasnącym już ognisku wpatrywał się w te włosy, lśniące niby drogocenny metal. Schował je, kiedy dogasały ostatnie iskierki.

Otoczyły go nieprzeniknione ciemności. Po omacku zakrył wejście do tunelu płótnem swego służbowego przenośnego namiotu. Potem wyciągnął się wygodnie na składanym łóżku. Od chwili, gdy rozstał się z Piotrem Breault, nie czuł się tak wygodnie. Ubiegłej nocy przecież w ogóle nie spał. Jakże mu było dobrze w tym łóżku! Toteż wkrótce zapadł w głęboki sen.

Płynęły długie nocne godziny. Nie słyszał wycia wiatru, który o świcie zerwał się na nowo, nie słyszał innych odgłosów, które na próżno odbijały się o jego uszy, ale jakaś wewnętrzna, ukryta podświadomość kazała mu się zbudzić. Zaczął poruszać się niespokojnie na łóżku. Aż nagle otworzył szeroko oczy. Światło wpadało przez otwór tunelu, a przecież na noc zasłonił go płótnem.

Spojrzał uważnie w tym kierunku. Płótna nie było.

W otworze tunelu ukazała się ogromna głowa, pokryta zwichrzonymi kudłami... Oczy jego spotkały się z oczami Brama Johnsona.

Rozdział VII. Filip kapituluje

W ciągu swej dwuletniej służby w policji Filip nauczył się nie dziwić niczemu.

Było to jednak dla niego niezwykłą i gwałtowną emocją, kiedy tak niespodziewanie zetknął się oko w oko z człowiekiem, którego ścigał.

Szybko jednak odzyskał panowanie nad sobą. Pomyślał, że gdyby Bram przyszedł tu z postanowieniem zabicia go, mógłby zrobić to natychmiast, korzystając z okazji, że przeciwnik śpi. Zauważył też, że zniknęła jego strzelba, którą wieczorem podparł zasłonę płócienną w otworze tunelu. Widocznie Bram już ją porwał. Nie zdziwiło go to zbytnio.

Znacznie bardziej zdziwił go wyraz twarzy Brama. W tym wzroku, utkwionym w niego, Filip nie mógł dopatrzeć się radości i zadowolenia zwycięzcy na widok schwytanej ofiary. Nie było w nim również nienawiści, ani podniecenia. Raczej jakaś niepewność i pewnego rodzaju niezdecydowane zakłopotanie.

Filip mógł obserwować dokładnie wszystkie charakterystyczne cechy jego twarzy: wystające kości policzkowe, niskie czoło, płaski nos, grube mięsiste wargi. Jedynym upiększeniem tej potwornej twarzy były tylko oczy: duże, piękne, o szarym blasku przypominającym perły. Oczy te, umieszczone w innej twarzy, wywołałyby szczery podziw, tak były piękne.

Upłynęła już długa chwila, a obaj mężczyźni nie zamienili ze sobą ani słowa. Filip sięgnął odruchowo po rewolwer, ale nie miał zamiaru robić użytku z broni: uważał, że lepiej i rozsądniej będzie pogadać trochę.

– Hello, Bram! – zakrzyknął.

– Bonjour, monsieur¹⁰ – odparł Bram, grubym, gardłowym głosem i niemal w tej samej chwili głowa jego zniknęła w otworze.

Filip czym prędzej zerwał się z łóżka polowego. Usłyszał dobiegający od wyjścia tunelu inny, groźny odgłos: ujadanie i wycie wilków.

Ciarki go przeszły, mimo całego zaufania, z jakim początkowo odnosił się do Brama. I czołgając się na czworakach po śniegu przez wąski tunel ku wyjściu, zadawał sobie pytanie, czy dobrze i rozsądnie postąpił, oszczędzając życie Brama. Nie lepiej byłoby, od razu za pierwszym spotkaniem, wpakować kulę w ciało tego zbrojnego? Jeżeli Bram poszczuje na niego wilki, toż to dopiero będzie i dla Brama i dla nich ładna zabawa! Zagryzą go, jak mysz w pułapce. Może uda się zastrzelić dwa lub trzy wilki, reszta rzuci się na niego i w mig się z nim załatwi. Już po raz drugi zrobił kapitalne głupstwo, które mści się teraz na nim.

Przed wyjściem z tunelu zatrzymał się. Przykucnął, trzymając rewolwer w ręku. Przez wąski otwór nie mógł dojrzeć nic więcej, prócz śniegu, na którym widniały odciski butów Brama. Słychać było groźny pomruk wilków, będących gdzieś niedaleko.

W tej chwili usłyszał głos Brama:

– Monsieur! Rewolwer i nóż – albo cię zabiję. Wilki bardzo głodne.

Nie mógł dojrzeć postaci Brama, który widocznie stał z boku, poza polem jego widzenia. W tonie głosu nie wyczuwało się złości ani groźby, tylko zimną, bezwzględną stanowczość, nie znoszącą protestu ani oporu.

O walce myśleć nawet nie było można. Bram, mając do pomocy swoje dzikie bestie, był pewny zwycięstwa. Jeżeli nawet Filip miał jakieś wątpliwości, pozbył się ich szybko na widok trzech wilków, które nagle zjawiły się w odległości trzydziestu stóp od niego. Były to prawdziwe olbrzymy. Stały z utkwionymi w niego ślepiami, warcząc głucho i kłapiąc szczękami, ukazując przy tym lśniące, ogromne, białe zęby. Po chwili zjawił się i czwarty, a potem parami przybywały dalsze, aż wreszcie wszystkie dwadzieścia ustawiły się rzędem, na wprost niego.

¹⁰ *Bonjour, monsieur* (fr.) – dzień dobry panu. [przypis edytorski]

Wilki wydawały się silnie podrażnione. Na widok tych dwudziestu groźnie kłapiących szczęk, tych dwudziestu par błyszczących ślepi, utkwionych w otwór kryjówki, Filip instynktownie cofnął się. Wiedział dobrze, że jeżeli wilki dotychczas stały w oddaleniu, nie rzucając się na niego, to tylko z uwagi na Brama. Choć nie słyszał, żeby Bram wydawał im jakikolwiek rozkaz.

W tej samej chwili mignął mu przed oczami jakiś długi wąż: nad stadem wilków przeleciał ze świstem batog Brama, długi na dwadzieścia stóp, sporządzony ze skóry karibu. Na ten sygnał wilki cofnęły się. Do uszu Filipa doleciał znowu stanowczy rozkaz Brama:

– Monsieur! Rewolwer, nóż!... Bo poszczuję wilki.

Jeszcze nie skończył mówić, a Filip odrzucił rewolwer na śnieg, daleko od siebie.

– Masz rewolwer, stary! Masz i nóż!

Nóż razem z futerałem upadł obok rewolweru.

– Czy mam wyrzucić również i moje łóżko? – spytał Filip, nadrabiając miną swój strach. Przypomniało mu się, że przecież poprzedniej nocy to on strzelał do Brama. A teraz Bram, być może, tylko czeka, aż Filip wyjdzie z kryjówki, aby mu palnąć w łeb? Przypuszczenie to nie było pozbawione pewnych podstaw.

Na swoje pytanie nie otrzymał odpowiedzi, co oczywiście nie mogło go zbyt uspokoić. Powtórzył pytanie, ale znowu bez rezultatu.

Zabrał się więc do spakowania swego przenośnego łóżka. Śmiech go brał na myśl, jaki raport on o tym wszystkim zdałby przełożonym – o ile w ogóle napisze jeszcze kiedyś jakikolwiek raport. Miałby co opowiadać! Prawdziwa komedia. Zagrzebał się oto w śniegu niby niedźwiedź na sen zimowy; a rano przychodzi taki jegomość uzbrojony w batog, otoczony hordą dzikich żarłocznych bestii, i prosi go grzecznie, aby raczył wyjść.

W chwilę później wyrzucił na śnieg swoje składane łóżko. Bram schylił się, by je podnieść, biorąc równocześnie rewolwer i nóż w swoje posiadanie. Korzystając z tej sposobności Filip wysunął się pospiesznie ze swej kryjówki. I kiedy Bram się podniósł, Filip już stał przed nim.

– Dzień dobry, Bram! – odezwał się śmiało.

Odpowiedziało mu tylko dzikie wycie wilków. Starał się jednak nie dać poznać po sobie lęku ani wzruszenia, jakkolwiek nerwy naprężone miał do ostateczności. Z ust Brama wypadło jakieś ostre słowo w języku Eskimosów i nad pyskami wilków zaświstał znów długi harap.

Bram nie spuszczał z niego oczu, a w jego spojrzeniu błyskały złe ognie. Filip widział, jak Bram zacisnął mocno swe grube wargi, nos zrobił mu się jeszcze bardziej płaski, na ogromnej ręce, w której trzymał grubą pałkę, żyły nabrzmiały jak postronki. Bram gotów był teraz bić i mordować. Wystarczyło jedno nieopatrne słowo, jeden niezręczny gest, a los Filipa byłby już przypieczętowany.

Grubym gardłowym głosem Bram rzucił pytanie w tym swoim żargonie, którym stale się posługiwał:

– Dlaczego wy wczoraj wieczór strzelać do mnie?

– Dlatego – odparł Filip, siląc się na spokój – ponieważ chciałem z tobą pomówić. Nie chciałem cię tropić. Umyślnie strzelałem ponad twą głowę.

– Chciałeś pomówić? – powtórzył Bram, a znać było, że każde słowo kosztowało go wiele wysiłku. – Dlaczego pomówić?

– Chciałem się ciebie spytać, jak to się stało, że zabiłeś człowieka w okolicy Jeziora Boga?

Zaledwie to powiedział, a już pożałował swych słów. Z piersi Brama wyrwał się głuchy, niemal zwierzęcy pomruk. A w jego szarych oczach, które nagle dziwnie pociemniały, zapłonął groźny ogień.

– Ach, tego człowieka z policji? Tego, co przyszedł z portu Churchill i którego wilki zagryzły?

Odrzucił rewolwer i nóż. W rękach trzymał tylko batog i pałkę. Wilki podsunęły się bliżej do Filipa i otoczyły go z tyłu półkolem. Nie śmiał obrócić głowy, nie śmiał nawet spojrzeć na nie. To ich straszne milczenie napełniało go nieopisanym lękiem. Czekały tylko na rozkaz Brama, czyhały na jego znak. Czuli instynktownie, że ów rozkaz padnie lada moment, że zawisł już na grubych wargach ich pana. Chwila była decydująca i straszna po prostu.

Filip wydobył portfel z kieszeni.

– Bram! – odezwał się. – Zgubiłeś coś owej nocy, kiedy nocowałeś w pobliżu chaty Piotra Breault. – Mówił to głosem zmienionym, trochę drżącym i niepewnym. – Dlatego właśnie szedłem za tobą, aby ci to oddać. Mogłem cię zabić, powtarzam, wówczas, gdy strzelałem do ciebie. Ale chciałem tylko, abyś się zatrzymał, i abym ci mógł to oddać...

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.